

andrzej
mogielnicki

KRYZYSOWA NARZECZONA



WARSZAWA 2015

Książka dostępna jako e-book

Redaktor: PIOTR KĘPIŃSKI

Korekta: GRAŻYNA KWIEK

Projekt graficzny okładki: ŁUKASZ SERWIŃSKI

Skład: ŁUKASZ SULIMOWSKI

Fotografia na okładce: ADAM KOZAK

© COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO SZELEST SP. Z O.O. 2015

© COPYRIGHT BY ANDRZEJ MOGIELNICKI 2015

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być wykorzystana w jakikolwiek sposób bez pisemnego zezwolenia właścicieli praw.

WARSZAWA 2015

WYDANIE I

ISBN 978-83-65381-02-6

WYDAWNICTWO SZELEST

www.wydawnictwoszelest.pl

halo@wydawnictwoszelest.pl

Andrzej Mogielnicki
KRYZYSOWA NARZECZONA

*Mogłaś moją być kryzysową narzeczoną
Razem ze mną pić to, co nam tu nawarzone
Mogłaś moją być, przy zgłuszonym odbiorniku
Aż po blady świt słuchać nowin i uderzać w gaz
Nie jeden raz, nie jeden raz, nie jeden raz!
Mogłaś być już na dzień, a nie byłaś
Nigdy nie dowiesz się, co straciłaś...*

*Mogłaś moją być kryzysową narzeczoną
Pomalutku żyć, tak jak nam tu naznaczono
Mogłaś moją być, jakoś ze mną przebiedować
Zamiast życzyć mi, na pocztówce nie wiadomo skąd
Wesołych Świąt, Wesołych Świąt, Wesołych Świąt!
Mogłaś być już na dzień, a nie byłaś
Nigdy nie dowiesz się, co straciłaś...*

LADY PANK 1982

Jakimś cudem, wciąż z uchem przy radioodbiorniku, zdaliśmy maturę i rozpaczliwie wymachując rękami i nogami, niczym niedoszli topielcy, osiągnęliśmy zbawczy brzeg studiów. Że był to brzeg ocalenia, nikt nie miał wątpliwości.

W owych czasach powszechnej, obowiązkowej służby wojskowej zasada była prosta jak konstrukcja kałacha: dostajesz się na studia, udajesz świra

albo idziesz w kamasze. W armii zaś nie przesadzano nadmiernie w kwestii ochrony praw człowieka i podczas nocnych marszobiegów nie śpiewano „*All You Need Is Love*”. Krążyła legenda o pewnym sierżancie z jednostki w Orzyszu, który wyspecjalizował się w otaczaniu „specjalną troską” długowłosych cwaniaczków z Warszawy. Na studiach byliśmy już stosunkowo bezpieczni, chociaż i tak podczas każdej sesji egzaminacyjnej stąpaliśmy po cienkim lodzie.

Dojrzewaliśmy z muzyką, a muzyka dojrzewała razem z nami. Na niej opierało się całe życie towarzyskie. Wpadało się do kogoś z wolną chatą posłuchać nowej płyty Stonesów i robiła się z tego impreza. A trwała tak długo, jak długo rodzice samozwańczego gospodarza wczasowali w Łądku-Zdroju albo innym Ciechocinku.

Na takie spędy łapał się również koleżka Inżynier ze swoimi narzeczonymi, a czasem z Myszą. Pewnego razu zadziwił wszystkich, bo przyszedł z dwoma naraz!

– Moja nowa narzeczona – obwieścił jak zwykle.

I dodał:

– A to Mysz. Ją znacie.

Wiedział, że tak ją nazywamy. Ona chyba też, bo tylko uśmiechnęła się tym swoim najmniej wyrażnym z wszystkich możliwych uśmiechów świata.

Poczuliśmy się trochę zdezorientowani. Dwie samice i jeden kolesz? To musiało się skończyć grubszą aferą. Tymczasem nic się nie działo. Nowa narzeczona, przy której uroda wszystkich słynnych *gruppies* Bitlów i Stonesów gasła jak świeczka na deszczu, pokładała się na Inżynierze, a Mysz zupełnie nie zwracała na to uwagi. Przy następnej okazji pojawili się w tym samym damsko-męskim składzie, z jedną drobną różnicą – narzeczona była nowa, połędwiczka wykrojona z najlepszej części żebra Adama. Jeden z koleżków, który był wyrocznią w tych sprawach, bo jego matka, seksuolożka, miała chyba największą w Układzie Warszawskim kolekcję dzieł naukowych ze stosownymi fotografiami, zawyrokował:

– Normalka, poszedł w trójkąty.

Spojrzeliliśmy na Inżynierka innym okiem, jakby odkrył nieznaną nagranie Sonny Boya Williamsona z The Yardbirds. Wtedy, seks jako taki, nie miał już dla nas tajemnic. Z powodu trudności lokalowych, małych pomieszczeń mieszkalnych oraz specjalnie tak zaprojektowanych mikroskopijnych kanap, amerykańek i tapczaników na prywatkach zdarzało się, że leżąc ze swoją panienką, przypadkiem macnąłeś pierś drugiej, która zabawiała się obok z innym koleżką. Po większym spożyciu, w ciemnościach zdarzały się nawet bardziej drastyczne wypadki. Taka była nasza odpowiedź na rozbrykany

Swinging London lat sześćdziesiątych. Swinging Warszawa, pod przywództwem Pierwszego Playboya Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, towarzysza Władysława Gomułki, na plenarnych prywatkach w Komitecie Centralnym kryjącego się pod frywolnym pseudonimem Wiesław? Why not?

No, ale co innego pomyłka, zwykła skucha, gdy w szale zmysłów rządzi pełny spontan, a co innego całkiem na trzeźwo udowodniać słuszność twierdzenia Pitagorasa! To jednak przemawiało do wyobraźni i znowu zaczęło się przewijać u niektórych w sennyh majakach.

Z czasem sytuacja znormalniała, tzn. koleżka dalej pojawiał się w układzie trójkowym z nieodłączną jak bok przeciwprostokątny Myszą, my zaś przestaliśmy zwracać na to uwagę. Ponadto objawił nam się Jimi Hendrix, i zburzył wszystkie dotychczasowe muzyczne hierarchie, zaś angielska wersja okładki jego płyty „*Electric Ladyland*” ostatecznie przekonała nas, że monogamia jest przeżytkiem.

Zauważyliśmy jednak pewną prawidłowość. Wszystkie nowe narzeczone Inżyniera zaczęły być do siebie podobne, jakby wybrane przez jednego jurora z tego samego konkursu piękności. Wcześniej miał większy rozrzut. Ponadto traktowały Mysz z pełnym szacunkiem, niepozbawionym odrobiny lęku. Pewien szemrany osobnik, ksywka Pirania, zapalony fan Rolling Stonesów, znany też z tego,

że masowo pocieszał porzucone kobiety przyjaciół, w tym były narzeczone Inżyniera, kiedyś nam to wyjaśnił:

– Dlaczego podobne? Bo ona mu wybiera i mówi, kiedy ma je odpuścić.

– Pirania, pieprzysz!

– Zakład? Stawiam jaja Micka Jaggera!

I wyszczerzając w obłudnym uśmiechu rząd draieżnych, zakończonych jak wierzchołki Andów zębisk, dodał:

– Same mi to opowiadają.

Kręciliśmy podejrzliwie głowami. Inżynier wyglądał na twardego zawodnika. Skoro jednak Pirania nie wahał się zakładać o taką stawkę... Znaliśmy już trochę lisią przebiegłość tych stworzeń. Sami nieraz byliśmy stawiani przed ultimatum: „albo muzyka, albo ja”. Na razie wygrywała muzyka.

Ponieważ muzyka była dla nas wszystkim, krąg pozostałych zainteresowań nie był zbyt szeroki. W odróżnieniu od naszych rodziców zupełnie nie interesowała nas polityka. Wydawało się, że świat był urządzony raz na zawsze. Zawiadywały nim dwie zwalczające się superpotęgi, z których każda mogła atomem kilka razy rozwalić całą planetę. To miało trwać w nieskończoność, tzn. całe nasze życie i jeszcze długo po nim. Ciułane z takim trudem i poświęceniem skromne zbiory płyt już

kilka razy w obliczu sytuacji międzynarodowej znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie. Jaki sens miało wobec tego staranne przeczyszczanie winylowej powierzchni wilgotną ściereczką i patrzenie pod światło, czy gdzieś wśród rowków nie pojawia się rysa?

Niektórzy twierdzili, że gdyby jednak wybuchła wojna, żadna ze stron nie użyłaby atomu, oczywiście nie ze względów humanitarnych, tylko z czystego przeświadczenia, że druga w rewanżu też łupnie. To dawało nam pewne możliwości.

Uniknęliśmy służby wojskowej, choć nie do końca. W każdym semestrze wkładaliśmy długie, ciężkie szynele, niemiłosiernie ocierające stopy bucior, gumkami związywaliśmy nieregulaminowe włosy, żeby schować je pod czapkę, i maszerowaliśmy przez miasto, w którym niemal wszystkie stare tynki ocalałych kamienic nosiły ślady kul z ostatniej wojny. Trafialiśmy do Studium Wojskowego, w którym oficerowie żywcem wyjęci z „Przygód dobrego wojaka Szwejka” usiłowali zrobić z nas żołnierzy. W wypadku zbrojnego konfliktu podlegaliśmy mobilizacji i w stopniu podchorążych mieliśmy iść na front. W regulaminowym czasie przeznaczonym na papierosa w naszych rozmowach pojawiły się dylematy moralne.

Czy na przykład nacisnąłbyś spust, gdybyś wiedział, że na drodze kuli stoi Van Morrison?

Albo w pełnym składzie The Doors? Frank Zappa? W końcu boski Hendrix swego czasu też służył we wrażej armii, i to w dodatku w jakiejś bojowej dywizji. Co prawda, jak pocieszali nas instruktorzy, starzy frontowi wyjadacze, „na wojnie kula nie wie, dokąd leci”, ale pewien osad wątpliwości pozostawał.

Pojawiały się też inne koncepcje, rozwijane podczas przeraźliwie nudnych zajęć. Nie było tajemnicą, że w ramach wielkiej ofensywy wojsk Układu Warszawskiego nam przypadłoby zadanie „osiągnięcia rubieży północnej”. W przekładzie oznaczało to, że jednym rzutem, wzorem przodków z naszej plemiennej pieśni, mieliśmy zająć Danię.

Wyobrażaliśmy to sobie tak: wkraczamy do wyzwolonej Kopenhagi. Nasi *sajuznicy*, czerwonoarmiejcy, rozbiegają się po mieście w poszukiwaniu zegarków, bab i czegoś do wypicia. My maszerujemy wprost do największego sklepu płytowego w centrum miasta. Za ladą kuli się zdeprawowany kapitalizmem wiking, rudy grubas, cały spocony ze strachu. Pojednawczo odkładamy kałachy na sklepową ladę i mówimy:

– W związku z toczącymi się działaniami bojowymi niniejszym zarządza się dla potrzeb wojska rekwizycję płyt z pańskiego sklepu. Żądamy niezwłocznego wydania całego działu czarnego bluesa, od Roberta Johnsona do B.B. Kinga, od Missisipi po Chicago.

Następnie british blues, od Alexisa Kornera do ostatniego Mayalla. Fleetwood Mac, Chicken Shack i Savoy Brown. Eric Clapton – wszystko. Peter Green – wszystko. Z białych Amerykanów Paul Butterfield i Canned Heat obowiązkowi. Dodatkowa lista rekwizycyjna popu dla naszych wiernie czekających dziewcząt: wcześnie The Beatles, The Box Tops, coś do tańca z Tamla Motown, „*That's Soul*” i takie tam...

Wiking dwoi się i troi, donosi albumy, aż lada ugina się pod ich ciężarem. Przeglądamy znajome okładki, sprawdzamy zawartość. Paznokciem przecinamy celofan, obowiązkowo wtykamy nos do środka, wciągając kreskę zapachu, jakiego dostarcza każda nowa płyta. Wyjmujemy krążek w koszulce, pozwalamy, by wyslizgnął się i oparł kantem o naszą dłoń. Najdłuższe środkowe palce rozczapierzamy tak, aby opuszki dotykały wyłącznie papierowej etykiety. Dalej jest już prosto, wyjmujemy płytę z koszulki i hop!, trzymamy ją w obu dłoniach jak w imadle, gotową do nałożenia na talerz. Ale zanim to zrobimy, patrzymy na błyszczące ścieżki, wyżłobione rowki, które wyglądają pewnie tak jak aktualna mapa naszego mózgu, obracamy kilka razy w rękach jak przypalony naleśnik, oblizując się przy tym lubieżnie, winylowi fetyszyści.

Wizja była zbyt piękna, aby mogła być prawdziwa. Przede wszystkim nie mieliśmy pojęcia, czy w Kopenhadze jest duży i dobrze zaopatrzony sklep z płytami. Pewnie był, lecz nie znaleźliśmy żadnego

człowieka, który by się choć otarł o Kopenhagę. Dania kojarzyła nam się wyłącznie z Andersenem. Czy w kraju Calineczki słuchano bluesa? I czy wobec tego nie należało od razu iść na Londyn?

Skończyło się tak, że wielka armia wykonała „w lewo zwrot” i pomaszerowała na bratnią Czechosłowację. Nie zostaliśmy zmobilizowani, bo i po co? Żeby wzbogacić płytotekę o Karela Gotta?

Nie interesowała nas polityka, ale to nie znaczyło wcale, że polityka nie interesowała się nami. Ta kurwa zawsze znajdzie powód, żeby się do ciebie przyczepić, i nie odpuści, dopóki nie złapiesz od niej jakiejś francy. Kuracja bywa potem długa, kosztowna i na ogół nie przynosi rezultatów.

Wiosną 1968 roku na Broadwayu kończono próby do premiery music-hallu „*Hair*”. Nasza podkulturka wdrapywała się na wyższe pięterko. Wcześniej Steppenwolf wystrzelił albumem z „*Born To Be Wild*”. Mayall przed ostateczną przeprowadzką do Kalifornii nagrywał „*Blues from the Laurel Canyon*”, na którym zadebiutował Mick Taylor. „*Sittin' on the Dock of the Bay*” Otisa Reddinga zabrzmiał jak pośmiertny dzwon, Eric Clapton, zrzucony z boskiego tronu przez Hendrixa, drinkował i dragował w Cream. Nawet bogowie mają swoje złe momenty, jak mawiano na Dolnym Mokotowie. Stonesi usiłowali się wydostać ze ślepej uliczki

psychodelic. Bitle z Donovanem i resztą towarzysza nawiedzali się w Indiach. W Stanach czaili się do skoku The Doors i Simon z Garfunkelem.

Tymczasem my, potykając się o zlodowaciałe przymy brudnego śniegu, co sił w nogach spieprzaliśmy Krakowskim Przedmieściem w stronę Nowego Świata, ścigani przez słuszny wkurw oburzonej klasy robotniczej w osobach jej przedstawicieli – uzbrojonych w pałki i gazrurki osobników w zadziwiająco jednakowych jesionkach w jodełkę. Wcześniej tarmosiliśmy się z nimi trochę, lecz jak wiadomo, syte brytany nie oprą się głodnym wilkom. Ponadto mieliśmy dodatkowe obciążenie w postaci koleżanek, które po pierwszym szturchnięciu pałką z płomiennych rewolucjonistek zmieniły się w gwałcone dziewice. No i każdy miał z tyłu głowy widok upiornego sierżanta z jednostki w Orzyszu, który już czekał na złapanych „w trakcie zajść” i na „wichrzycieli” relegowanych w trybie nieodwoalnym z uczelni.

Toteż mieliśmy ważne powody, żeby wyciągać nogi. W trakcie tej ucieczki większości chyba przychodziła do głowy jedna myśl: „O co biega?”. Przyszliśmy jak zwykle na uczelnię, zaczął się jakiś wiec, wielu myślało, że z okazji Dnia Kobiet. Nagle wkroczył robotniczy aktyw, zamiast goździka wyjął z za pazuchy pałę i zaczęła się ogólna zadyma.

Naparzali naszych, więc odpowiedzieliśmy. W którymś teatrze podobno cenzura zdjęła „*Dziady*”. I co z tego? Przed chwilą w liceum tak nas wymęczono „*Dziadami*”, że te narodowe upiory i strzygi uszami nam wychodziły. Co innego, gdyby odwołano zaliczony niemal równo rok wcześniej koncert Rolling Stonesów... Tam też się działo... Zwiewaliśmy w stronę Nowego Świata, nie wiedząc jeszcze, czy to zbawienie, czy pułapka.

Jednocześnie w biegu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przechodziliśmy niemal kafkowską metamorfozę: nasze dość pucułowate słowiańskie twarze wydłużały się, nosy nieoczekiwanie garbiły, wargi nabrzmiewały, niektórym dumnie hodowane rockowe bokobrody zmieniły się w sprężynki pejsów. Na dziedziniec uniwersytetu wbiegliśmy jak rozbrykane słowiańskie szczenięta na swojskie wesele, a opuściliśmy go jak goście czmychający z bar micwy.

Później, chyba pierwszy raz w życiu, obejrzeliliśmy z rodzicami dziennik telewizyjny i przeczytaliśmy miejscowe gazety. Kurna, pisali i pokazywali całkiem coś innego, niż widziały nasze niewinne oczęta! Pierwszy Playboy pienił się na trybunie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przed rokiem Jagger, machając różą, śpiewał „*Lady Jane*”, a zgromadzony na widowni aktyw, osobliwie podobny z mordy do wymachujących pałkami

przed uniwerkiem, wznosił okrzyki i transparenty z hasłem „Syjoniści do Syjamu”. Ciskaliśmy się przed telewizorem, drąc płachty lichu zadrukowanego papieru, podczas gdy nasi starzy nagle dziwnie cisi siedzieli w fotelach i tylko smutno kiwali głowami.

To było później, ale najpierw wybiegając z tłumkiem na skrzyżowanie Nowego Światu i Świętokrzyskiej, wpadłem na Alfreda.

Na zajęciach z ekonomii uczono nas, że cena jest funkcją popytu i podaży. OK, tylko nikt nie zakładał sytuacji, w której nieograniczony popyt spotyka się z zerową podażą! Jak w tych filmach o narkotykowych kartelach, w których do miejscowego bossa przychodzą lokalni dilerzy, on rozkłada ręce i mówi: „Sorry fellows, federalni przechwycili cały ładunek z Kolumbii. Od jutra aż do odwołania w całym mieście nie będzie ani grama towaru!”. Na rynku pozostają tylko niezależni pośrednicy, na końcu filmowo wykańczani przez zazdrosny o zyski kartel.

Jednym z takich pośredników w handlu płytami był właśnie Alfred.

Gdy jako świeżo upieczony winyloholik od jakiegoś czasu nie dostawałeś towaru i czułeś, jak cały twój organizm od tego wariuje, a w kręgu najbliższych ci muzycznych maniaków nie było niczego, dosłownie niczego, czego już byś do ostatniego dźwięku nie odsłuchał, zawsze mogłeś liczyć

na Alfreda. Dawalesz cynk przez pewne kanały, składałeś zamówienie i czekałeś, aż się pojawi. Bezpośredniego dojścia do Alfreda nie miał nikt. Chodziły słuchy, że mieszka gdzieś na Grochowie, dzielnicy wówczas odległej i tajemniczej, do której nikt o zdrowych zmysłach nie zapuściłby się nawet za dnia. Granicą tamtego świata była ulica Skaryszewska, na której za połowę miesięcznej pensji rodziców mogłeś kupić dzinsy z paczki.

Nikt nie znał też dostawców Alfreda. Przymuszczałnie był to kanał holenderski, bowiem napisy w kompletnie niezrozumiałym języku często pojawiały się na okładkach płyt, którymi handlował. To nam nie przeszkadzało, o Holandii mieliśmy jak najlepsze zdanie z powodu Cuby and The Blizzards. Inni pomniejsi handlarze, zazdrośni o pozycję Alfreda, rozpuszczali na rynku pogłoski, że zamieszczał oszukańcze oferty matrymonialne w holenderskich pisemkach pornograficznych. Wybrance wysyłał zaręczynowy pierścionek z fałszywym oczkiem, a w zamian żądał prawdziwych płyt. I co z tego? W tym interesie moralność nie odgrywała żadnej roli.

Jak każdy rasowy diler, Alfred nigdy nie próbował towaru, którym handlował. Chyba nawet nie miał pojęcia o muzyce. Za to dziwnym trafem odgadywał aktualne mody panujące na rynku i życzenia klientów. Ba, potrafił je nawet wyprzedzić! Po otrzymaniu cynku zjawiał się u ciebie w rozsądnym terminie i od progu

mamrotał beznamiętnym głosem przepracowanego księgowego:

– Doszły mnie słuchy, że szukasz „*Diary Of The Band vol. 2*” Bluesbreakers?

Po czym wyciągał z torby płytę unikat, o której istnieniu w całym mieście wiedziało może pięć osób. Przy okazji jak zawodowy gracz w trzy karty tak zręcznie przekładał okładki, że nie sposób było nie zauważyć innych wspaniałości.

– Zaraz, zaraz – mówiłeś. – A to co takiego? Tej okładki jeszcze nie widziałem.

Wyjmował płytę i patrzył na nią, jakby ją pierwszy raz widział na oczy.

– Aaa... – machał ręką. – To „*Wheels of Fire*”, świeżutki Cream. Podobno się rozpadają...

– Jak to?! – protestowałeś. – Przecież to miało wyjść dopiero latem!

– U mnie już jest – przesądzał Alfred, i pieniądze ciężko zarobione na myciu okien w spółdzielni studenckiej łądowały w kieszeni międzynarodowego oszusta matrymonialnego.

To akurat na niego natknąłem się na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światu.

Musiał znaleźć się tam przypadkowo, kiedy spanikowany tłum wypadł na skrzyżowanie, tratując wszystko po drodze. Impet rzucił nim o boczną ścianę Polskiej Akademii Nauk, po czym wbił w kupę zlodowaciałego śniegu. Siedział tam zupełnie

ogłupiały, podczas gdy uciekający, choć nikt ich już nie ścigał, pognali z prędkością solówki Alvina Lee w różne strony miasta.

Przystanąłem i pomogłem mu wygramolić się z lodowej pułapki. Ubrany był tak jak zawsze w stary, zgniłozielony bitelsowski surdut ze stójką pod szyją, zapinany na nieprzeliczoną ilość guziczków obszytych materiałem. Do tego dopasowane były spodnie rurki i brązowe sztyblety z zadartym noskiem, szyte na zamówienie u szewca Śliwki lub Beczki w czasach, gdy na ekranach królował film „*A Hard Day's Night*”. Szczerze mówiąc, nie był podobny w tym stroju do Paula czy Geoga. Niewysoki, rudawy, ze starannie utrzymanymi bokobrodami, wyglądał raczej jak wiejski listonosz z Galicji krążący po mieście z wielką, skórzaną torbą, w której roznosił towar.

Rozbebeszona torba teraz leżała obok niego na śniegu. Część płyt wysunęła się i walała się po chodniku, burząc szary, jednostajny porządek warszawskiej ulicy. Wyglądało to tak, jakby wśród uciekających znajdował się paw, który po drodze pogubił fantastycznie kolorowe pióra. Rzuciliśmy się razem, żeby pozbierać płyty. Alfred każdą okładkę wycierał starannie rękawem, a jednocześnie sprawdzał, czy zawartość jest cała.

– Co z wami, ludzie? – marudził przy tym całkiem przytomnie. – Odbiło wam? W co wy się bawicie?

Czy w tym kraju nie może być chwili spokoju do robienia interesów? O, kurwa!

– Co, kurwa? – zapytałem.

– „*John Wesley Harding*” Dylana w drobiazgi! – jęknął, potrząsając obwolutą, która w środku niepokojąco zachrzęściła. Pink Floyd cały, Iron Butterfly cały, a to...

Jego twarz nieoczekiwanie przybrała wyraz nieufności.

– Myślisz, że wiedzieli? – zapytał, zniżając głos.

– Co wiedzieli?

– Jak to co? Że Dylan to Zimmerman!

– Co z tego, że Zimmerman?

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym nie zrozumiał puenty jakiegoś oczywistego dowcipu.

– Ech, czego was tam uczą na tych uniwersytetach...

– westchnął po chwili.

Wyciągnął rękę z potrząsaną płytą w stronę opustoszałego Krakowskiego Przedmieścia, na którym snuły się tylko dymy z rzuconych wcześniej petard z gazem łzawiącym.

– Tego się już nie da skleić – oświadczył, potrząsając okładką.

Później czasami zastanawiałem się, czy chodziło mu o tę płytę. Coś więcej rzeczywiście popękało i nie było szans na naprawę. Po spóźnionej wiosnie przyszło gorące lato i czas pośpiesznych pożegnań. Pierwszy Playboy z kumplami odświeżyli stary

numer Neila Sedaki „*One Way Ticket*” na dziesięć lat przed tym, zanim stał się na nowo dyskotekowym hitem Eruption. Zawsze lubili wyprzedzać czas.

Do tej pory polskość wydawała nam się stanem oczywistym, nieco banalnym. Od morza do Tatr jak okiem sięgnąć otaczali nas sami Polacy. Te same dźwięki, widoki, zapachy. Imieninowe „*Sto lat*” z okien. Zapach kiszonej kapusty na klatkach. Na podwórkach bitwa z Krzyżakami pod Grunwaldem. Wyścig Pokoju i komentator wrzeszczący: „Szurkowski! Szurkowski!” w radioodbiornikach i ulicznych megafonach. Święteczny karp w wannie. Wata na patyku na 1 Maja. Święty Mikołaj razem z Dziadkiem Mrozem zawiani od początku grudnia.

I raptem ktoś, z kim od początku życia grałeś na podwórku w zośkę, dziewczynka z warkoczem, w której podkochiwałeś się w podstawówce, okazali się obcymi, wewnętrznymi wrogami, których samo istnienie stanowiło zagrożenie dla plemienia. Nie miały znaczenia żadne zasługi. Na przykład takie jak kumpla od zośki, który wstępując w liceum do kółka dramatycznego, w przypiływie szaleństwa nauczył się na pamięć całego „*Pana Tadeusza*”. I gdzie on miał teraz wygłaszać ten wiekopomny poemat o Litwie, ojczyźnie swojej? W Syjamie? Albo takie jak dziewczynki z podstawówki, w której słusznie

ulokowałeś swoje uczucia, bo z czasem stawała się coraz większą piękną. Byli napiętnowani, wyrzuceni poza krąg plemienia. Zaś plemię mniej lub bardziej milcząco to odrzucenie akceptowało.

Skoro przynależność do wspólnoty tak łatwo można było podważyć, czy ty sam mogłeś być zupełnie jej pewny? Twój rodzice zapewniali, że tak, jak najbardziej. Patrzyłeś nieufnie w lustro, konfrontując w nim własną twarz. Z lustra spojrzał na ciebie typ zdecydowanie kartoflano-wiślany, z długimi wiechciami włosów, które stanowczo nie pasowały do konturu twarzy. Czy był to jednak dostateczny dowód? Wyjeżdżali przecież także wysocy, smukli, stuprocentowi blondyni!

W trakcie podróży wiecznie zatłoczonymi autobusami i tramwajami również szukałeś jakichś cech antropologicznych, które łączyły zbitą, milczącą ciżbę wokół ciebie, i dochodziłeś do jednego sensownego wniosku: było to plemię mieszańców, kundli. Stulecia przemarszów innych plemion i hord przez tę rozwartą jak uda kobiety równinę wyrysowały na ich twarzach całą mapę kontynentu, od gór Kaukazu i azjatyckich stepów aż po Morze Śródziemne. Jakby się dobrze przypatrzeć, znalazłbyś w nich rozrzedzonego przez wieki Mongoła, rozwodnionego Chazara, wikinga, Celta, Huna, Gota, Wandala. Jakby dobrze w tych genach poskrobać, pewnie i neandertalczyka znaleźć by się dało.

Wyjazdy i pożegnania trwały aż do jesieni. Zniknęło kilka pięknych kolekcji wywiezionych bądź rozparcelowanych wśród przyjaciół. (*Na co mi te płyty? Tam, gdzie jadę, są już na przecenach!*) Patrząc na ostatni wagon pociągu odjeżdżającego z Dworca Gdańskiego, mieliśmy mimo wszystko mieszane uczucia. W końcu wyjeżdżali w inny wymiar, do świata, w którym coś się działo, podczas gdy my dalej musieliśmy tkwić w swoich opłotkach.

Pod koniec roku kolega Inżynier oficjalnie poinformował nas o zmianie swego statusu męsko-damskiego. Wyjechała również Mysz. Nie w trybie przymusowej emigracji. Rok wcześniej, jak tłumaczył, podczas Jazz Jamboree na jakimś jam session zainteresował się nią szwedzki kontrabasista. Cały rok molestował ją na różne sposoby, z temperamentem raczej Włocha niż Skandynawa, dzwonił, wysyłał prezenty, aż przyjechał do domu jej rodziców swoim volvo, z bukietem czterdziestu róż w potężnej grabie. Szarpnął odpowiednią strunę i oświadczyzny zostały przyjęte.

Inżynier nie wyglądał na zbyt przejętego utratą Myszy. Dawał do zrozumienia, że ta sprawa była wcześniej z nim uzgodniona. Z niezwykłą dla niego wylewnością na prawo i lewo opowiadał, jak to całą noc przepłakała w jego ramionach i jak szlachetnie przekonywał ją do wyjazdu. Wyglądało to tak, jakby osobiście wydał ją za mąż za tego Szweda.